

Flotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

27

— Czy mamy już jechać? — zapytał pochylając się do drzwiczek powozu.

— Iedź, a uważaj, żebyś nas gdzie nie wyrócił! — zawołał Lopez.

— Niema obawy, proszę pana.

Rozległ się suchy trzask białej i konie ruszyły galopem. Powóz toczył się szybko przez wąskie i kręte uliczki miasteczka. W kilka minut później podróżni znaleźli się wśród pół szerokiach i rozległych, skąpanych promieniami wschodzącego księżyca.

Lopez umieścił się wygodnie i zapalił cygaro. Frank wkrótce poszedł za jego przykładem. Spuścili szyby karety. Noc była pogodna i spokojna, powietrze czyste, przepojone zapachami pół okolicznych.

— Okolica ta jest rzeczywiście prześliczna! — zawołał nagle Lopez, budząc się z zamyślenia.

— Cudowna! — przyznał Frank.

— Gdybym tu kiedy zamieszkał, jestem pewny, że zapomnielibym wkrótce o Ameryce.

— A jednak dążymy do niej — zauważył młody człowiek.

— Skoro zapragnąłeś sam tego.

Frank westchnął lekko i spojrzał w niebo roziskrzone gwiazdami.

— Czyż posiadam jaką wolę? — odparł obojętnym i smutnym głosem.

— A dlaczego jej nie masz? — zapytał żywo Lopez, zwracając się twarzą do niego.

— Nie wiem... Odkąd ten nieszczęśliwy Compans został zasądzony na dożywotnie więzienie i majątek ojca został mi przywrócony, odkąd wreszcie mogłbym czuć się szczęśliwym, zdaje mi się, że nagle jakaś pustka straszna otoczyła mnie i pomimo wszystkich zadośćuczynień, których mi los nie poskąpił, zdaje mi się, mój przyjacielu, że nie dosięgnę nigdy tego szczęścia, o którym marzyłem, a które jedynie mogłoby wypełnić i zmienić na zawsze moje życie.

Lopez spojrzał na Franka z miną, mającą wyrażać zdziwienie.

— Jakie szczęście, mój kochany, o jakim szczęściu mówisz? — zapytał z lekką ironią.

— Spokój — brzmiała krótka odpowiedź.

— Czy czujesz się już tak zmęczonym?

— Czuję, że ostateczne zmęczenie i zniechęcenie ogarnie mnie wkrótce.

Lopez wzruszył ramionami.

— No, no, mój kochany siostrzeńcze — odpowiedział wesoło — odpędź te smutne myśli, proszę cię. One są nie zdrowe dla ciebie. W twoim wieku, przy twoim majątku, życie ci dać może jeszcze wiele chwil dobrych i przyjemnych. Nie trzeba tylko tak zniechęcać się.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewny. A zresztą powiedz mi, czego ci właściwie brakuje? Morderca twojego ojca został odnaleziony i ukarany, skazany na dożywotnie ciężkie roboty i w tej chwili odśladuje swoją karę. Córką jego znikła, lecz ty nie możesz sobie względem niej nic wyrzucić.

— Kto wie, co się stało.

— Zaręczam ci, że Oktawiusz Gaudin ożenił się z nią, kiedy go doszła wiadomość, że zrzekasz się części swego majątku na jej korzyść. Co zaś do Paskala, ten naprawdę szczęśliwie wyszedł z całej tej sprawy.

— Sąd okazał się dla niego bardzo łaskawy — zauważył młody człowiek.

— Rzeczywiście. Umiął dobrze odegrać rolę nieszczęśliwej ofiary i wiernego sługi i sąd go uwolnił. Jąbym był inaczej z nim postąpił, ale trudno. Chyba nie jego marną osobą zajmujesz się obecnie, mój kochany.

— Skądże to przypuszczenie?

— No, oczywiście. Zginie gdzieś marnie, tak jak sobie na to zasłużył. Więc czegoż chcesz właściwie i nad czym tak rozmyślasz? Cała ta smutna sprawa szczęśliwie dla nas przeprowadzona została. Zwolniony jesteś na przyszłość od tego ciężkiego obowiązku, który tak długo ciążył na życiu twoim. Jesteś młody, wolny i bogaty. Nikt nie krępuje twoich kroków, pójdziesz tam, gdzie zechcesz. Czegoż więc jeszcze pragnąć możesz? Dlaczego widzę na

twojej twarzy ten ciągły cień smutku i zamyślenia? Powiedz mi, Franku, skąd to pochodzi?

Frank uśmiechnął się melancholijnie na te słowa. Chciał na nie coś odpowiedzieć, kiedy nieprzewidywany wypadek przeciął od razu wątek rozmowy.

Już od pewnej chwili księżyc skrył się za chmurami i szary mrok rozpostarł się wokół. Powóz zjeżdżał właśnie z dość ostrej pochyłości i nie wiadomo, czy pocztylion chciał wykazać dowód swej zręczności lub lekkomyślności, bo rozpuścił konie galopem i powóz staczał się w zawrotnym biegu na dół.

Z początku Frank, zajęty jeszcze swoimi myślami, nie zwracał na to uwagi. Nie dostrzegł szybkiego galopu koni, ale wkrótce niespokojne podrzucanie powozu na boki i oszałamiający turkot kół rozbudził go z zamyślenia.

Pochylił się przez drzwiczki powozu, obserwując.

Powóz pędził coraz szybciej.

— Ten pocztylion chyba oszalał — zwrócił się do Lopez — pędzi na złamanie karku.

— Może jest pijany — zauważył ten ostatni — widziałem, jak w zajeździe raczył się winem.

— Ale my zjeżdżamy z bardzo bystrej pochyłości... może tam przepaść, której nie widzi. Zobaczysz, że nas jeszcze wyróci.

Lopez uśmiechnął się lekko.

— Uspokój się, mój kochany — rzekł spokojnym głosem — O niebezpiecznych przepaściach czytamy tylko w sensacyjnych powieściach, gdzie robią dobry efekt. Ale znajdujemy się tutaj na drodze gładkiej i równej i nie przypuszczam, aby nam groziło jakie niebezpieczeństwo. Nie sądziłem, że masz tak przeculone nerwy. Mnie ta jazda szybka dosyć się podoba.

— Tak, przyznaję, o ile mielibyśmy pewność, że powóz się nie wyróci. Uważaj tylko, jak przechyla się na wszystkie strony.

— Nie denerwuj się, Franku — odparł spokojnie Lopez, zapalając papierosa.

— Nie denerwuję się, ale...

— Ale co? W najgorszym razie wyrócimy się...

— Dziękuję ci za tę przyjemność.

— I jeżeli to nastąpi, postarajmy się wczas wyskoczyć, aby się nie narazić na pośluczenie, bo tego rzeczywiście wcale nie pragnę.

Lopez nie dokończył jeszcze tych słów, kiedy powóz przechylił się gwałtownie na bok, konie szarpnęły silnie, a nasi podróżni znaleźli się w rowie, ciągnącym się wzdłuż drogi. Na szczęście rów ten nie był głęboki i tak zarośnięty gęstą i miękką trawą, że powóz potoczył się tylko łagodnie i leży na boku bez zbytecznego wstrząśnienia.

Lopez otworzył szybko drzwiczki, wyskoczył i pomógł Frankowi wysiąść.

— A co, nie mówiłem, że się tak stanie! — zawołał młody człowiek rozdrażnionym głosem.

— Miałeś słusność, Franku, ale niebezpieczeństwo nie okazało się tak wielkie. Widzę, że nasz pocztylion przy całej swojej niezręczności jest wcale zręcznym człowiekiem.

— Jeszcze go bronić będziesz? — zawołał Frank. — Gdzieś się ukrył ten nicpoń.

— Daj mu spokój, widzisz przecież, że się nic złego nie stało. Upadliśmy mięciutko, jak na poduszki, a konie zdrowe i całe.

— Więc jeszcze go chwalić zamierzasz?

— Oczywiście. Ta katastrofa mogła się gorzej zakończyć. Jeżeli tylko oś powozu nie pękła, będziemy mogli za chwilę ruszyć w drogę, jak gdyby się nic nie stało. No, cóż tam przyjacielu? — zawołał Lopez, zwracając się do pocztyliona — stało się jakie nieszczęście?

— Oś od powozu pękła, proszę pana — odparł pocztylion głosem, w którym nie czuć było wcale zmieszania, przeciwnie, brzmiał w nim odciśnięty złośliwości.

— Ładna historia! — zawołał Frank z rozdrażnieniem. — Oś pękła! Znajdujemy się w szczerem polu, daleko od wszelkich zabudowań ludzkich i będziemy zmuszeni czekać tutaj kilka dobrych godzin, zanim ta szkoda naprawiona zostanie! Ładne położenie, niema co mówić!

— Ależ Franku! Nie irytuj się — próbował uspokoić go Lopez.

— Chciałbym posiadać twoją zimną krew. Widzę, że całą tę nieprzyjemność przyjmujesz bardzo cierpliwie i zazdroszczę ci!

I podczas kiedy Frank dalej się irytował, narzekając na niezgrabność pocztylionów całego świata, Lopez, który obserwował okolicę, do-

strzegł przy blasku księżyca, który na szczęście znów wypłynął z za chmury, dom, wznoszący się w niewielkim oddaleniu, o dość sympatycznym i zachęcającym wyglądzie.

Podzielił się natychmiast swoim odkryciem z Frankiem.

— Widzisz, mój kochany — rzekł wesoło — że los dla naszego położenia okazuje się bardzo łaskawym. Pocztylion wsiadzie na jednego konia i pojedzie do wsi po pomoc i podczas kiedy powóz naprawiać będą, my udamy się do tego domu, który tam widzisz i poprosimy o chwilową gościnność. Przypuszczam, że jej nam udzieli chętnie.

Frank nie odpowiedział. Rzeczywiście nie było innego wyboru, tylko iść za radą Lopez, co też uczynił, klnąc w duszy na nieprzyjemną przerwę po drodze.

Lopez tymczasem rozmawiał jeszcze z pocztylionem, dając mu jakieś zlecenia.

— Czy pan zadowolony ze mnie? — zapytał pocztylion, pochylając się poufale do ucha Lopez.

— Udało ci się doskonale, mój przyjacielu — zaśmiał się serdecznie ten ostatni.

— A więc zarobiłem moje sto franków?

— Zarobiłeś uczciwie.

Mówiąc to Lopez, wsunął mu w rękę kilka sztuk złota.

— Do usług pana! — rzekł pocztylion — jeżeli pan kiedy będzie przejeżdżał tędy i zapotrzebuje mojej pomocy, to się polecam.

Lopez uśmiechnął się.

— Dobrze, mój kochany, będę pamiętał o tobie. Ale jak na teraz musisz się zająć gorliwie naprawą naszego powozu.

— To się robi.

— Musisz na to zużyć dwa dni czasu — nieprawdaż?

— Mogę zużyć i ośm jeżeli to panu potrzebne — odparł żywo pocztylion.

— Tyle nie potrzeba. Dwa dni wystarczą zupełnie. Wiesz, dokąd się teraz udajemy?

— Wiem, proszę pana.

— A więc za dwa dni tam po nas zajeżdżesz, pamiętaj za dwa dni.

— Nie zapomnę.

Pocztylion uklonił się nisko i Lopez pobiegł dogonić Franka.

W chwili, w której nasi podróżni dojeżdżali do miasteczka Jagon, gdzie mieli zmienić konia, człowiek może pięćdziesięcioletni schodził przyspieszonym krokiem ze wzgórka, z którego froch później powóz, unoszący Franka i Lopez, miał się stoczyć, powodując przerwę w ich podróży.

Była godzina dziesiąta.

Człowiek szedł szybko, wspierając się na grubej, węzłowej lasce, nie rozglądając się, patrząc prosto przed siebie z uporem.

Lecz kiedy zeszedł już z pochyłości i znalazł się na równej drodze, przystanął nagle, badając uważnie bystrym wzrokiem okolicę. Musiał po chwili dostrzedz dom, bielejący pośród drzew, bo natychmiast ruszył naprzód, przeskoczył lekko rów i szedł dalej przez pola jeszcze bardziej ożywionym krokiem.

Twarz jego jaśniała zadowoleniem.

Dom, do którego podróżny zmierzał, był dość mały, lecz z daleka nęcił wzrok malowniczym położeniem i śnieżno białymi ścianami, odbijającymi się żywo na ciemnym tle gęstych drzew.

Składał się on z parteru i pierwszego piętra i otoczony był wokół rozległym angielskim ogrodem, zabezpieczonym murem, w którym z daleka już błyszczała nieduża żelazna, złocona furka.

Nieznajomy zatrzymał się przed tą furką i pociągnął za sznurek od dzwonka.

Natychmiast ruch jakiś dał się odczuć we wnętrzu domu i stara kobieta, trzymając latarkę w ręce, ukazała się na ścieżce.

Powolnym, jak gdyby wahającym się krokiem, podeszła do furki, patrząc nieufnie na tak zapóźnionego gościa. Podróżny schylił kapelusza.

— Czego pan żąda? — zapytała stara kobieta, podnosząc latarkę do wysokości twarzy podróżnego.

— Chcę się widzieć z waszą panią.

— O tej porze — mruknęła stara.

(Ciąg dalszy nastąpi).